

23 października, godz. 10.00

- Nie wierzę, że udało nam się to zaliczyć! – powiedział młody mężczyzna, przekrzykując gwar małej grupki studentów wychodzących z gmachu uczelni.

- Ja też nie!... – odrzekła dziewczyna, będąca w tym samym wieku. – Uff... w końcu trochę odpoczynku. Magda, idziesz z nami do pubu? – zapytała ostrożnie idącej z nimi, ubranej elegancko, ale całkowicie na czarno koleżanki.

Magda zawahała się chwilę, ale powiedziała:

- Tak, mogę iść na trochę. Ale niezbyt długo, bo muszę jeszcze skoczyć do szpitala.

- Jeszcze coś z mamą? – szepnęła przyjaciółka Magdy.

- Nie – odrzekła i uśmiechnęła się lekko. – Z mamą już... już załatwione. Nie... tydzień temu oddałam krew do badania. Czuję się ostatnio jakoś... słabo. Idę po wyniki.

- Spoko, Madziu – powiedział chłopak, który zaczął rozmowę. – Wszystko będzie okej! Teraz idziemy się upić!...

Mimo niedawnej śmierci mamy, Magda była zadowolona – udało jej się zdać egzamin, tytuł magistra już w kieszeni. Taka mała osłoda po osobistej tragedii.

Siedziała wyciszona i patrzyła z uśmiechem na szczęśliwych kolegów, do których fortuna puściła oko. W końcu wstała, pożegnała się ze wszystkimi i ruszyła w kierunku kliniki.

Judyta wyszła z domu z uśmiechem na ustach. Była zmęczona po nieprzespanej nocy – jej maleńki synek właśnie zaczął ząbkować i, jak to określił jej mąż, odchodziły niezłe jazdy, ale była szczęśliwa. Weszła do samochodu, odpaliła i ruszyła.

„Dzisiaj tylko jedna rozprawa, mam nadzieję, że pójdzie szybko”, pomyślała.

Po pół godzinie dojechała do sądu. Wpisała się na listę i szybko skierowała się do swojego gabinetu. Po chwili weszła protokolantka z plikiem dokumentów.

- Dzień dobry, Wysoki Sądzie, oto akta sprawy – powiedziała. Judyta kiwnęła głową. Po chwili udała się na wokandę.

- Godzina jedenasta, państwo Nowakowie, sprawa o rozwód i podział majątku.

Judyta patrzyła znad okularów na wchodzące małżeństwo – jeszcze małżeństwo. On – dumny i wyprostowany, ona – przygarbiona i załamana. Poczekala aż zajmą miejsca.

- Otwieram przewód sądowy...

Zaczął się całkiem rutynowo, zwyczajnie, normalnie – jeśli takim określeniem można opisać rozstających się – a kiedyś kochających – ludzi.

- Olek, wołaj dzieci, jedźmy już, bo się spóźnimy! – krzyknęła przysadzista pani o pogodnych oczach w kierunku drzwi wejściowych do domu.

- Dobrze, mamo! – odrzekł wysoki mężczyzna w okularach. Po chwili krzyk trójki małych dzieciaków rozdarł powietrze na posesji. Maluchy wypadły z domu i podbiegły do samochodu. Gwar był ogłuszający.

- Babciu, babciu! A pojedziemy do „McDonalda”?!

- Uspokójcie się!... – powiedział Olek. – Pojedziemy, ale najpierw udamy się na mszę.

- Pomodlić się za mnie, prawda tato? – zapytał najmłodszy z trójki.

- Tak, syneczku – odrzekł Olek. – Żebyś był zdrowy i żeby Pan Bóg ci pomagał. A później będziemy świętować twoje urodziny w restauracji. Co ty na to?

- Super!... – odrzekł chłopczyk z błyskiem szczęścia w oczach.

Po chwili już jechali, z przedmieść kierowali się ku centrum. Po kilkunastu minutach byli przed kościołem.

Olkowi nic nie robiło tak dobrze na duszy, jak rozpieszczanie swoich dzieci i codzienna modlitwa. Wtedy był naprawdę szczęśliwy, czuł błogie ciepło na sercu.

Andrzej obudził się, ale nie otwierał oczu. Przez chwilę jeszcze raz próbował przeżyć przepiękny sen, jaki zrodził się w jego głowie kilka minut wcześniej. Nie pamiętał go zbyt dobrze, wiedział tylko, że był piękny, optymistyczny, dający nadzieję i otuchę. W końcu uznał, że trzeba wstać.

- No, myślałem, że będziesz gnął do południa – powitał go chrapliwy głos.

Andrzej spojrzał się z pogardą na swojego współtowarzysza, który siedział z założonymi nogami na zniszczonym taborecie. Odrzucił dziurawy koc i wstał ze sterty kartonów, które przez całe lato były jego łóżkiem. Było słonecznie, ale w wietrze czuć już było nadchodzącą jesień.

- Niedługo trzeba będzie się przenieść do schroniska... – powiedział cicho, jakby do siebie.

- Eee... – machnął ręką mężczyzna siedzący na taborecie. – Pójdziemy na dworzec, tam przynajmniej nie każą ci wstawać o siódmej rano. Idź lepiej po żarcie, zamiast filozofować.

Andrzej nic nie odpowiedział, sznurował buty. Wstał i nie oglądając się za siebie wyszedł spod mostu. Szedł powoli wzdłuż rzeki, rozmyślając o swoim śnie. Wszedł po schodach na chodnik i przeszedł przez ulicę. Wszedł do parku i rozejrzał się wokół – grzebanie w śmieciach wciąż było dla niego upokarzające.

Podszedł do jednego i przemieszał w jego zawartości. Nic nie znalazł. Podszedł do kolejnego. Znowu nic.

„Cholera, znów przyjdzie się prosić”, pomyślał.

Zamieszał ręką w jeszcze jednym. Na samym dnie coś wyczuł. Było nieduże i zawinięte szmatę. Wyjął to z kosza. Ponownie rozejrzał się wokół siebie i rozwinął materiał. Zaparło mu dech w piersi. Szybko skierował się w kierunku swojego „domu”.

23 października, godz. 13.00

Magda czekała na korytarzu w szpitalu. Rozmyślała o reakcjach kolegów ze studiów na wieść o zdaniu egzaminu, o swojej przyszłości, o firmie, w której zamierzała złożyć podanie o pracę, o tym, jak bardzo ucieszyłoby to jej mamę... Zatopiła się w swoich myślach.

Nie wiedziała, że kilka metrów od niej, za ścianą, jej znajomy lekarz przeżywa prawdziwy dramat, moralny dylemat, czy raczej to, czego w swoim zawodzie naprawdę nie lubił – informowania o złych i przykrych dla pacjentów wiadomościach. Wreszcie, po prawie godzinie rozmyślań poprosił dziewczynę do siebie.

Magda spokojnie weszła do gabinetu. Uśmiechnęła się na powitanie. Młody doktor nie wiedział jak zacząć rozmowę, patrzył na nią półprzytomnie, wiedział, że jej matka zmarła zaledwie kilka tygodni temu, a teraz jeszcze to...

Judyta z niedowierzaniem patrzyła na to, w jaki sposób zachowuje się pan Nowak. Jeszcze nigdy, odkąd zaczęła prowadzić sąd rodzinny, nie było jej dane spotkać tak zimnego, a wręcz w pewnym sensie wyrafinowanego człowieka. Nie spuszczał wzroku ze swej małżonki, przeszywając ją lodowatymi spojrzeniami.

Judyta była całym sercem za panią Nowak, która cały czas płakała. Widać było jak bardzo kocha swego męża i jak bardzo nie chce rozstawać się z nim. Tylko dlaczego? Dlaczego, skoro z niego taki drań, taki bezuczuciowa i znieczulona świnia?... Nie potrafiła tego zrozumieć.

W końcu, chcąc nie chcąc, musiała wydać wyrok. Po krótkiej przerwie oświadczyła:

- Ogłaszam rozwiązanie małżeństwa przez rozwód...

Spojrzała jeszcze raz na triumfujący wyraz twarzy pana Nowaka i załamana panią Nowak. Wyszła z sali i pobiegła do swojego gabinetu.

Usiadła na fotelu, zatopiła dłonie we włosach i zapatrzyła się w jeden punkt.

Olek z rodziną wyszli z kościoła. Po każdej mszy był zwykle natchniony optymizmem, ale dzisiaj czuł lekki niepokój. Przepiękne według niego kazanie księdza o „niezbadanych boskich wyrokach” jeszcze brzmiało mu w głowie, czuł, że słowa duchownego są mu bardzo bliskie, ale wiedział, że chyba nie pogodziłby się, do czego przekonywał ksiądz, ze stratą jakiegokolwiek bliskiej osoby.

Lekkie rozkojarzenie przysło, gdy dzieciaki zaczęły dopominać się obiecanej restauracji. Wsiedli do samochodu i ruszyli. Olek zjechał jeszcze zatankować i wjechali na główną arterię miasta. Po kilku chwilach byli już na miejscu.

Zdawało się, że zabawy nie będzie końca, jednak babcia zdecydowała, że trzeba już wracać, pouczyć się dopóki jest jeszcze słońce na niebie. W drodze powrotnej stanęli w korku.

Andrzej siedział sam w swoim małym obozie i patrzył się na to, co znalazł w parku – a był to pistolet. Prawdziwa broń. Leżał teraz na stołku, na którym rano siedział jego współtowarzysz. Andrzej zdążył się już z nim pokłócić o to, co z tym fantem zrobić. Czy sprzedać, jak namawiał go namawiał go tamten, czy zachować, bo „niewiadomo do czego ta broń była użyta”, czy oddać na policję?

Siedział na swoim „łóżku” i rozmyślał, nie odrywając wzroku od pistoletu. Miał wstręt do siebie, że ledwo go znalazł, a już stał się przedmiotem sporu z towarzyszem w niedoli. Naprawdę nie wiedział, co robić. Wsłuchiwał się w przyspieszony i niespokojny rytm swojego serca.

W końcu zdecydował – idzie odnieść to na policję. Chociaż... na pewno będą pytać – skąd to ma, co z tym robił... Ale dlaczego miałby mu nie uwierzyć? „Bo jesteś dla nich tylko śmierdzącym bezdomnym, Andrzej! Żulem który przetajdaczył swoje życie!” – tak powiedział mu przyjaciel, zanim odszedł.

Wstał, zwinął pistolet z powrotem w szmatę, w której go znalazł, i szybko ruszył przed siebie.

23 października, godz. 16.00

Judyta jechała szybko. Chciała jak najszybciej dotrzeć do domu, do męża, do dziecka. Nigdy nie dopuszczała do siebie myśli, że może ich stracić. Nie chciała nigdy przeżywać tego, czego kilka godzin wcześniej musiała doświadczyć tamta kobieta – zupełnie jej obca, ale w tej chwili bliska niczym siostra.

Skręciła w prawo. Zauważyła w oddali zielone światło, przyspieszyła. Nagle ktoś wszedł na ulicę. Nacisnęła pedał hamulca...

Olek wydostał się w końcu z korka. W głowie wciąż miał mętlik po porannych słowach księdza. Nie rozumiał jak można spokojnie przyjmować odejście kogoś z rodziny, jak nie mieć do Boga pretensji. Nie da się. Ktoś musi być winien!...

Natłok myśli przerwał mu hałas z tylnego siedzenia. Odwrócił się, by uspokoić dzieci. Usłyszał swoje imię, które zanikło w pisku opon samochodu jadącego obok...

Magda wyszła ze szpitala prawie nieprzytomna. Nie wiedziała, dokąd idzie. W głowie huczały jej tylko trzy słowa... „Ma pani HIV...”

Nie rozglądając się weszła na pasy. Nie wiedziała, że przed chwilą światło zmieniło się na czerwone. Usłyszała pisk opon...

Andrzej szybko maszerował przez park. Już wiedział, gdzie musi udać się ze swym znaleziskiem. Wierzył, że tak będzie najlepiej. Policja musi mu uwierzyć – niby skąd miał wpaść w posiadanie pistoletu, jak nie przypadkiem!? Nie jest bandytą – jest uczciwym człowiekiem. Skaranym przez los i życie – owszem – ale uczciwym.

Wyszedł z parku i na pasach czekał na zielone światło do przejścia. Gdy tylko sygnalizator zmienił kolor, dał krok naprzód. Okropny hałas sprawił, że nagle zatrzymał się w miejscu...

\*\*\*

Olek trząśniętym głosem tłumaczył policjantowi, że nie zdążył... Po prostu nie zdążył. Miał zielone, nikt nie powinien tam przechodzić... Policjant kręcił głową, domagał się świadków.

Judyta już nie przysłuchiwała się rozmowie funkcjonariusza z kierowcą czerwonego auta. Wiedziała, że właściciel samochodu ma rację, ale nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Spoglądała w milczeniu na zapłakaną starszą panią i trójkę wystraszonych, małych dzieci, a także na młodzieńca, wnoszoną właśnie do ambulansu...

Magda nic nie czuła. Widziała przed oczyma jakieś kształty, kolory. Nic z tego nie rozumiała... Jak w mantrze powtarzała sobie za to w myślach te trzy słowa...

Andrzej przez długą chwilę stał w bezruchu, głęboko zszokowany sceną, jakiej właśnie był świadkiem. Podszedł bliżej. Policjant nie dawał wiary zeznaniom sprawcy wypadku. Chciał pomóc biedakowi – przecież widział jak było. Dotknął ramienia policjanta i powiedział, że jest naocznym świadkiem wypadku. Mundurowy spojrzał na niego z pogardą. Zlekceważony Andrzej nie dawał za wygraną. Policjant w końcu złapał go za rękę. Wtedy pistolet, który Andrzej trzymał w dłoni upadł na asfalt. Policjant błyskawicznie wyjął swoją broń i wymierzył w Andrzeja. Po chwili był on już zakuty w kajdanki i leżał twarzą skierowaną ku ziemi. Jak ostatni złoczyńca, a chciał tylko pomóc...

\*\*\*

Czy naprawdę potrzeba wojny, bomby atomowej, trzęsienia ziemi, deszczu meteorytów, strzału prosto w serce, żeby doświadczyć końca świata?

Magda  
Olek  
Judyta  
Andrzej i ich

Apokalipsa